

## Nie taka jak zawsze bitwa o samorządy



**KRZYSZTOF WOŁODŹKO**

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

**Utrata kontroli nad „bazą”, czyli samorządową Polską, to niebagatelna stawka: władza centralna, która traci władzę lokalną, jest jak człowiek po amputacji rąk i nóg.**

27 sierpnia oficjalnie ruszyła kampania wyborcza do wyborów samorządowych, które zwyczajowo łączą w sobie elementy lokalne z silnymi wpływami i narracjami polityki centralnej. Dla dużych partii to nie tylko wiarygodny barometr wyborczy przed parlamentarnymi zmaganiem, ale także szansa na zdominowanie poszczególnych regionów kraju w kolejnych latach. W tym roku dowiemy się ponadto, czy ruchy miejskie są już znaczącą siłą polityczną, czy czeka je jeszcze dłuższa droga do sukcesów.

Istotnym akcentem nadchodzących wyborów będzie konsolidacja sił w „wojnie plemion”. Przez tę ostatnią rozumiem starcie dwóch głównych wizji rozwoju i tożsamości Polski, których emocjonalność jest niewspółmierna do realnych różnic między dwiema centroprawicowymi partiami.

Spór słabnącej sondażowo Platformy Obywatelskiej z Prawem i Sprawiedliwością skazuje tę pierwszą partię na wzmocnienie sojuszu z Polskim Stronnictwem Ludowym. Czyli de facto postkomunis-

tycznym ugrupowaniem od samego początku III Rzeczypospolitej świetnie umiejscowionym w lokalnej Polsce. I to nie tylko wiejskiej.

Kłopot dla PSL polega jednak na tym, że wiążąc się na dobre i złe sojuszem parlamentarnym z PO, płaci wszelkie rachunki razem ze swoim silniejszym sojusznikiem. I nie do końca wiadomo, czy strategia wzmocnienia sojuszu także na poziomie samorządowym w kolejnej dużej batalii politycznej przyniesie wzmocnienie ludowcom, czy daleko idące rozproszenie sił. Bo wysoce prawdopodobne jest, że jeśli PO poniesie porażkę, to i PSL przegra z kretelem, oddając pole nowym zwycięzcom.

Znamienne, że w przypadku PO i PSL kampania samorządowa w Warszawie rozpoczęła się właśnie ogłoszeniem sojuszu tych ugrupowań. W ubiegły poniedziałek (15 VIII) marszałek województwa mazowieckiego Adam Strózik (PSL) ogłosił, że jego ugrupowanie poprze kandydaturę Hanny Gronkiewicz-Waltz w listopadowych wyborach. W zamian na listach PO

znajdą się w stolicy gwarantowane miejsca dla kandydatów PSL. Obie partie zamierzają też przygotować wspólny dokument dotyczący choćby zmian prawnych dotyczących janosikowego (system subwencji oparty na przekazywaniu przez bogatsze samorządy części swoich dochodów tym biedniejszym) oraz stołecznych inwestycji.

**W tym roku dowiemy się,  
czy ruchy miejskie są już  
znaczącą siłą polityczną,  
czy czeka je jeszcze dłuższa  
droga do sukcesów.**

Wzajemne wsparcie samorządowe dwóch ugrupowań pozostających w koalicji parlamentarnej nie jest aż tak zaskakujące. Jeśli jednak przyjąć, że faktycznie mamy dziś w Polsce do czynienia z „wojną plemion”, to gra idzie także o uratowanie istotnego politycznie, czy wprost ustrojowo, status quo. I zachowanie przez kolejne lata bardzo szerokich wpływów, w tym administracyjnych i społeczno-gospodarczych, przez środowiska od lat determinujące rodzimą rzeczywistość. Bo utrata kontroli nad „bazą”, czyli samorządową Polską, to niebagatelna stawka: władza centralna, która traci władzę lokalną, jest jak człowiek po amputacji rąk i nóg.

Dla PiS powyżej zarysowana ewentualność to szansa na nowy marsz przez (samorządowe) instytucje. Pytanie jednak, w jaki sposób największa dziś opozycyjna partia odczytuje i rozumie potrzeby prowincjonalnej Polski, która od lat zmaga się z coraz dalej postępującym „znikaniem

państwa” (zamykaniem szkół, rosnącymi utrudnieniami w dostępie do instytucji publicznych na prowincji, coraz bardziej fatalną siecią komunikacyjną, narastającym rozdziewem między Polską A i Polską B). Moim zdaniem PiS powinien bardzo mocno postawić na sprawy związane z lokalnymi bolączkami: od korupcji sitw po „banalne” niedogodności życiowe „prowincjuszy”.

Jest jeszcze jeden, nowy gracz. Opcja, która ze zdecydowaną awersją odnosi się do wpisywania lokalnych/regionalnych problemów w spór PO/PSL z PiS-em. To lokalne inicjatywy mieszczan, które oficjalnie określiły się przez nową strukturę polityczną, czyli Porozumienie Ruchów Miejskich. Kłopot w tym, że choć ten nowy gracz wpisał się już na dobre w rzeczywistość Warszawy czy Krakowa i jest medialnie coraz bardziej rozpoznawalny, to nieledwie na trzy miesiące przed wyborami samorządowymi PRM łączy (tylko? aż?) sześć organizacji: Miasto Jest Nasze (Warszawa), Kraków Przeciw Igrzyskom, Prawo do Miasta (Poznań), Gdańsk Obywatelski, Czas Mieszkańców (Toruń), Samorządni.pl (Płock). W dodatku retorykę ruchów miejskich podchwytyją już samorządowcy związani choćby z Sojuszem Lewicy Demokratycznej, szukający dla siebie nieco bardziej prosocjalnego lokalnego elektoratu.

Na koniec: w listopadzie 2010 roku frekwencja w wyborach samorządowych wyniosła 47,32 proc. uprawnionych do głosowania. Jako kwestię otwartą stawiam pytanie, czy obecność nowych ruchów miejskich spowoduje podniesienie tego wskaźnika – poprzez aktywizację części „milczącej większości”, czyli najliczniejszego plemienia III RP.